

Tymiński, Wojciech

Po dwóch stronach : Chorwacja i Bośnia-Hercegowina

Obyczaje 17, 10-13

2004

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wojciech ■
Tymiński

PO DWÓCH STRONACH CHORWACJA I BOŚNIA-HERCEGOWINA

Chorwacja to kraj spotkań. Miejsce, gdzie bezkres błękitnego Adriatyku dotyka stóp Alp. Świat, w którym krzyżuje się słońce z morzem, noc z dniem, a wino z muzyką. Obok sosen i świerków rosną palmy, z nizin wyrastają niespodziewanie skaliste wzniesienia, a winnice przeplatają się z gajami oliwnymi.

PRZEZ STULECIA spotykały się tutaj lądowe i morskie potęgi, militarne i gospodarcze mocarstwa. Ale te czasy minęły bezpowrotnie. Rzymskie galerie i żaglowce Argonautów już dawno odplynęły poza widoczną linię horyzontu. Wojska tureckie, węgierskie, weneckie, które nawiedzały tę ziemię, rozplynęły się w gęstej mgłę historii. Dzisiaj spienionymi wodami oceanu rządzą stalowe wieloryby.

Ogromne, białe promy o dymiących masztach codziennie przemierzają ocean, zrećnie manewrując pośród konstelacji wysp. Łąd opanowały zaś szybkie, ekskluzywne auta i niezwykle hałaśliwe skutery, które bezustannie krążą po ulicach, niczym pszczoły wokół bujnego kwiatu. Nawet wieczorami, kiedy słońce idzie już skąpać się w morzu, by wstać nowym, czystym blaskiem kolejnego dnia, świetliste węże pojazdów suną autostradami w niewiadomym kierunku.

Ale Chorwacja to przede wszystkim kraj miast, miasteczek i niewielkich osad wtopionych w krajobraz, połączonych szosami wijącymi się serpentynami wśród skał, które gdzieniegdzie zawisają nagle nad przepaści. Jedna z takich asfaltowych wstążek wiedzie na samo południe, do miejsca stworzonego jakby jedynie dla odpoczynku i uciechy, gdzie kolory, kształty i zapachy Chorwacji występują z największą intensywnością.

Dubrownik to miejsce z 1001 baśni, podobne do niespotykanej muszli wyrzuczonej przez morskie fale na kamienisty brzeg. Każdy, kto tu przybywa, przekracza kamienny próg świata, w którym spletają się, niczym w rękach zręcznej tkaczki, różnobarwne przedzie kultury zachodnioeuropejskiej, śródziemnomorskiej i słowiańskiej. Tutaj znajdowali schronienie podróżni, zmierzający do Konstantynopola i Ziemi Świętej. Przybywali posłowie z dalekich krain, uczestnicy wypraw krzyżowych, poszukiwacze przygód i ludzie spragnieni niepowtarzalnych wrażeń. Kupcy przywozili najcenniejsze towary na handel, a żeglarze zawijali do portu,

by odpocząć przed walką z bezkresnym oceanem na szlaku wiodącym na Wschód. Ale to było kiedyś...

Stari Grad (Stare Miasto) to miejsce zakłete w kamień. Tutaj gorąca białość ścian przeplata się na każdym kroku z czerwienią dachów, którą nasycy się niebo. Łupkowe kapelusze budynków zwróconych ku morskiej dali szczelnie przykrywają czworoboki ścian. Przez szerokie okna domów wpadają wesołe, roztańczone snopy słonecznego światła, ukazując zabytkowe wnętrza. Promienie odkrywają stare szafy, kredensy, skrzypiące łóżka, porcelanowe zastawy. Jak włócznie dziurawią rozwieszoną na sznurkach bieliznę i nowe kominy, wyrosłe w mroku, wydęte przez wichry nocny.

Wokół zabytkowej części miasta pęcznieje gruby mur, który zamyka ten świat na klucz, niczym strażnik więzienie. Grube na trzy, a nawet sześć metrów ściany zrećnie ukrywają tętno współczesności, bijące poza ich obrębem. Z pobliskiej baszty Minčeta, górującej nad murami od strony północnej, rozciąga się jeden z najpiękniejszych widoków świata.

Dubrownik to królestwo uliczek porysowanych niezliczonymi liniami mijań, dążeń, spotkań. Podwójne, potrójne, niesamowicie płodne, niczym sobowtóry albo lustrzane zjawy wnikają w domy, by rozerwać i oddzielić je od siebie. Wiją się wśród kamienic niczym jadowny wąż, czekający na swoją ofiarę. Choć często małe i wąskie, rozpychają się i preżają mięskły, tak jak główna, a zarazem najsłynniejsza ulica Starego Miasta – *Placa Stradun* – o długości blisko 200 metrów. Niegdyś było to trzęsawisko, oddzielające słowiańską osadę Dubrawę od romańskiej Ragusy. Dzisiaj gwarna tysiącami ust, szurgotem stóp, ulica huczy jak wzburzony ocean. Jedwabista, delikatnie ożyłkowana tkanka kamienia w świetle jaskrawego słońca odbija niczym zwierciadło fasady pobliskich, rzeźbionych światłocieniami budynków. *Cudownie, cudownie, cudownie* – powtarzam na głos, jakbym dopiero uczył się tego słowa. Magia lśniącego

marmuru przyciąga i zniewala. I nie tylko mnie, gdyż ulica przepelniona jest tłumem ludzi, którzy w niezliczonej ilości suną jej korytami. Kolorowy korowód drapieżnym, łapczywym krokiem pochłania kolejne kamienne bezkresy. Tym sposobem dociera do Pałacu Sponza - jednego z najważniejszych zabytków Dubrownika, gdzie duch gotyku i renesansu złączył się w nierozrwalnym uścisku. Jest nam wzbronione oszukiwać i fałszować miary, toteż gdy ja ważę towar, ze mną razem czyni to sam Bóg - głosi napis umieszczony nad centralną lożą arkadowej sieni.

Ale są też tutaj drobne uliczki – kręte, wąskie żyłki, które prowadzą do krainy baśni. Rozgałęzione niczym wiekowe drzewa, rozpadające się na tysiące strużek, gubią przechodniów, którzy próbują zgłębić ich tajemnice. Tego, kto jednak pokona ten swoisty labirynt, ze zrozumieniem i pobłażliwością podejdzie do rozkapryszonych zakrętów i zawijasów drogi, zniesie trud serpentyn piętujących się schodów, czeka nagroda. Odnajdzie miejsca nieznanne, zagubione w czasie, syjące dziecięcy świat wyobraźni. Zdyszany po skalistej wspinaczce nagle słyszę dziwny ćwierkot ptaków, a w powietrzu wyczuwam woń lawendy. Przedemną wyrastają pijane słońcem ogrody. Lekko odsłaniam zieloną pajęczynę pnączy. Muskam kwitnące drzewa migdałowe, pomarańcze, krzewy rozmarynu i mirtu, potykam się o doniczki zasadzone ziołami. Z odległości sześciu kroków dostrzegam lekko uchylone drzwi domostwa, kuszące aromatem kobiecości. A gdyby je tak pchnąć?

Niespodziewanie czarny kot ociera mi się o nogi, mrużąc jednocześnie porozumiewawczo oczy. Mały strażnik nie pozwala naruszyć tajemnic tego świata. W tej sekundzie wokół mnie wyrasta cała armia czworonożnych stworzeń. Jedne rozkładają się na rozpalonym bruku, inne wyciągają wysoko szyję niczym żurawie, by otrzeć pyszczki o słońce. Chyłkiem wymykam się spod ich władzy.

Każdy kto przemierza te bezkresne ulice, ulega magii sklepów, które jak gołębie obsiadły pobrzeża chodników. Światło rozpuszczane w szybach wystawowych przyciąga wszystkich tych, którzy szukają przysmaków najmniej dostępnych w rodzinnych stronach. Osobliwe, nęcące, słabo oświetlone wnętrza pachną głębokim zapachem niespotykanych przedmiotów: nadgryzionych przez czas ksiąg, mosiężnych naczyń, złotych pierścionków, srebrnych bransolet, migotliwych naszyjników. Starzy kupcy o łagodnych, pełnych życzliwości i uwagi twarzach z należyłym szacunkiem prezentują wiekowe towary, zalegające lekko przykurzone półki i półeczki piętujące się od podłogi aż po sam

sufit. A potem troskliwie pakują zakupione przedmioty, posyłając je na nowe, nieznanne lądy. I tak, kolorowe pakunki wpływają ze sklepu przy akompaniamencie ceremonialnych gestów, szeleszczących banknotów i skrzypu drzwi.

Od świtu słońce szczerze wypełnia wszelkie luki, zarasta szpary okiennic, które łapczywie chłoną żar lejący się z nieba. Śmiechy, spojrzenia i potakiwania nabierają tężyzny w letnim cieple. Ale gdy zegar wznoszący się nad placem *Luža* obwieszcza, że jest samo południe, a świat idzie pogodnym trybem naprzód, wybuchy słońca stają się coraz silniejsze, częstsze i celne. Świetliste promienie zaczynają szczytać w szyje, następnie przenoszą się na ramiona, ręce, docierając aż do stóp. I gdy zielone listki drzew zwijają się na brzegach z upału, ataki słonecznego ognia zapędzają znękanych ludzi do cienistych kątów. Tylko co bardziej wytrwali chłdzą się w *Wielkiej Fontannie Onufrego* usytuowanej tuż przy bramie miasta. Owalna budowla, ozdobiona szesnastoma rzeźbionymi maskami, tryska życiodajną wodą - dowodem potęgi i bogactwa Dubrownika. Niektórzy kierują swoje kroki do *Klasztoru Franciszkanów*, gdzie w średniowiecznych krużgankach wciąż słychać szepty mnichów, a z pobliskiego kościoła dochodzi melodyjny śpiew choraków gregoriańskich. I nagle wszystko się uspokaja. Po pergaminie nieba spokojnie suną kuliste, pulchne obłoczki, a białe sklepienie na zmianę to rozsuwa, to naciąga kotary błękitu.

Port. Kiedyś cumowała tu olbrzymia flota, licząca w czasach rozkwitu ponad 200 statków, które odbywały regularne rejsy do Syrii, Egiptu, Hiszpanii, Francji, Turcji i wielu innych krajów. Dzisiaj o morskie fale uderzają burty maleńkich łodzi. Tutaj każdy posiada kawałek pływającej deski.

Tańczące na wodzie orzechowe lupinki, napędzane białymi płótnami, przy większych podmuchach wiatru opuszczają keję, by za chwilę zginąć w labiryncie pobliskich wysp, które wyrastają niespodziewanie na lśniącej tafli morza, jak krecie kopce. Duże i małe, o nieprzebranym bogactwie kształtów, urzekają swoim niecodziennym pięknem.

Niedaleko przystani chłopcy o rozjaśnionych uśmiechem twarzach i opalonych, lśniących ciałach. Z wysokości wybrzeża wskakują do wody pomiędzy ostre głazy pozłocone słońcem i znikają nagle w bezdennych przestworzach morskich, kryjących bajkowe skarby zatopionych królestw. Potem wyskakują na brzeg i niczym ptaki strzepują krople wody zastygłe na skórze, by zaraz ponownie zjednoczyć się z żywiołem.

Na krawędzi nocy slychać szum zamiatanych śmieci, zgrzyt zamykanych zamków. Czerń nocy czekająca w przystani wkracza na teren miasta powoli, jakby z tremą. Ale już po chwili niebo rozblyskuje rzesistością tysięcy gwiazd. Sierp księżycy kroi niebo na dwie półkule. Przy jego świetle każdy młodzieniec staje się donżuanem - pięknym, nęcącym, o zwycięskim spojrzeniu, który stroszy szyję w poszukiwaniu wybranki nocnej rozkoszy.

Zakochane pary spotykają się przy fontannach, kruszejących balkonach, na różowych placach, furtkach do zapomnianych ogrodów. A potem znikają w fałdach nocy za aksamitnymi kotarami. I tylko gdzieś tam ciepły wiatr wywiewa z gniazd niezbadanych uliczek, zacisznych alkierzy - sekretne mrugnięcia, delikatne szmery i westchnienia. Tylko ci, których nie spotkało dzisiaj szczęście, stoją samotnie pod kolumną *Orlanda*, wieńczącą wschodnią część *Placy Stradun* i przytulają się do rzeźby średniowiecznego rycerza, której pierwowzorem był opiewany w pieśniach Roland.

Tymczasem *Placa Stradun* płonie światłem dziesiątek latarń i latarenek, które bezwzględnie rozgadniają czerń nocy. Na chodnikach, placach i rynkach, pod stopami przechodniów, zuchwale rozkładają się drewniane stoliki i ławy, mosiężne krzesła, wiklinowe fotele. I gdy mrok wysiewa ostatnie swoje ziarna w zaułkach, a mdlawe cienie ledwo pełzają po ziemi, ludzie zasiadają przy bursztynowym świetle świec, żeby przy lampce wina skosztować morskich specjalów: ryb, małży, raków, jeży morskich, homarów. Obok rozkwita odświętnie przybrany tłum. Bogate, kolorowe kostiumy wyszywane złotem i srebrem, dźwięk szarpanych strun i wydmuchiwanego blaszany mi tubami powietrza, łopoczące na delikatnym wietrze szachownice chorwackich flag tworzą niesamowite widowisko.

Niedaleko Romeo kłęcz pod balkonem Julii. Jak żak, gdy rzuca książkę, tak kochanek do celu swego pospiesza wesoły: a gdy nadejdzie z kochanką rozstanie, wlecze się smutnie, jak ów żak do szkoły - rozbrzmiewa aksamitny głos aktora.

Podłączam się do tajemniczego koro-wodu. Czas ruszać dalej.

ZAGINIONA CYWILIZACJA

Granica chorwacko-bośniacka. Wrota czasu. Za szybą autokaru pojawia się inny świat: wyblakły i smutny. Ślady wojny z 1992 roku są aż nadto widoczne. Połamane domy - spalone, opuszczone, bez dachów, okien, części ścian - straszą swoim widokiem. Nietrudno znaleźć tutaj odłamki pocisków, wraki samochodów, skażoną grobami ziemię.

W powietrzu niemalże czuć zapach prochu. Kiedy patrzę na to wszystko, przypomina mi się fragment utworu Miłosza: człowiek idzie ulicą i zatrzymuje się przed domem przepełnionym bombą. Prywatność ludzkich mieszkań, ich rodzinne zapachy, ich ciepło pszczelego plastra, ich meble przechowujące pamięć miłości i nienawiści! A teraz wszystko na wierzchu, dom ukazuje swoją strukturę, nie jest to skała trwająca od wieków: tynk, wapno, cegła, szalowania, a na trzecim piętrze samotna i przydatna chyba tylko dla aniołów biała wanna, z której deszcz wypłucze wspomnienie o tych, co się w niej kiedyś kąpali.

Na zewnątrz hula złowieszczy wiatr. Robi się coraz ciemniej. Reflektory autobusu wybiórczo oświetlają mijane miejsca. Przeraża pustka i bylejałość. Ludzi prawie nie widać. Jak sowy spłoszone zbyt żywym światłem rozwiewają się nagle. Ci, których zauważam, stoją w bezruchu, jakby czekali na karawan, który odwiezie ich na cmentarz. Ciemność kryje postacie odbarwione, zasnute pajęczyną, o przetrąconych kręgosłupach.

Na *kolodvorze* (dworcu) w małej miejscowości próbuję przyjrzeć się bliżej mieszkańcom tego miejsca. Oczy melancholijne, zagubione, wpatrzone w niewiadomą, zamgloną dal. Już wypłakane, zaschłe... pustyne. Twarze wyjedzone przez życie, zakutane w czarne chuściny. Wsiadam z powrotem do pojazdu z mięciutkimi fotelami i klimatyzowanym wnętrzem, które wydawało się w Chorwacji standardem, tutaj - luksusem.

Mostar - miasto położone po obu stronach skalistego koryta rzeki Neretwy. To tutaj toczyły się jedne z najcięższych walk ostatniej wojny, które pochłonęły wiele tysięcy ofiar. Obecnie mieszkają tu Chorwaci, Muzułmanie i Serbowie. Widać życie codzienne jest silniejsze od wzajemnej niechęci. W końcu i tak wszyscy leżą spokojnie obok siebie na pobliskich cmentarzach. *1992, 1992, 1992* - czytam beznamienne cyfry na białawych krzyżach. To też ich jedyną.

Samo miasto ma w sobie coś magicznego. Znajoma „wielka płyta” przeplata się z orientalną zabudową. Ludzie rozkręcają drobne i całkiem duże interesy. *Banka* (bank), *pošta* (poczta), *benzinska pumpa* (stacja benzynowa), *mjenjačnica* (kantór), *ljekarna* (apteka) - szyldy i reklamy zaczynają zdobić fasady budynków. Mostar powoli nabiera sprężystości i rumieńców. Przyswajają dorobek kapitalizmu z coraz większym apetytem.

Obok mnie przebiega chłopiec. W jednej ręce trzyma lizaka, w drugiej - plastikowy karabin. Krajobraz wciąż dźwiga ciężar minionego czasu...

BEZROBOTNY LUCYFER

Jest jednak jedno takie miejsce w Hercegowinie, w którym czas biegnie zupełnie inaczej - zapęta się, zanika, chowa się w zakamarkach – to Medugorje. Ta mała, nieznana nikomu miejscowość w sercu Gór Karstu żyła niegdyś podobnie, jak i pozostałe wioski na tym terenie: ludzie pracowali na roli, sadzili tytoń i winogrona, uprawiali warzywa, hodowali owce i produkowali wino. Wyrwane żółte kartki kalendara, jak opadające na drogę liście znaczyły przemijające dni. Ale 24 czerwca 1981 roku wydarzyło się to, co spowodowało, że tę spieczoną słońcem ziemię zaczęły znaczyć żywe stopy milionów pielgrzymów. Według świadectwa sześciorga dzieci ukazała im się wtedy Matka Boża nazywaną tutaj Gospą i przekazała swoje orędzie.

Objawienia te trwają ponoć do dzisiejszego dnia. Dlatego też od 23 lat Medugorje jak magnes przyciąga ludzi ze wszystkich zakątków świata. Nikogo nie dziwi to, że o każdej porze dnia i nocy, wokół kościoła i na wzgórzach, mniejsze i większe grupy pielgrzymów przesuwają bezszelestnie paciorki różańca i mruczą coś pod nosem. Ale obok wyznawców religii można spotkać w Medugorje także zwykłych, ciekawskich ludzi, którzy gdzieś niegdzie przemykają, znacząc miejsca swojej obecności fleszem aparatu. Nie wszyscy wierzą... w cuda.

Msza wieczorna to niesamowita mozaika modlących się ludzi. Nogi wbite w ziemię jak słupy utrzymują sylwetki w bezruchu. Na skroniach pojawiają się pulsujące żyły. Rysy twarzy wyrażają głębokie skupienie. W trakcie śpiewów głosy zgromadzonych podnoszą się namiętnie, ręce zaczynają falować - to wyciągają się w górę, jakby chciały coś uchwycić, a to zwijają się jak kwiat w gestach oddania, uwielbienia, pokory. Mieszają się różne języki. Nie znane sobie wyrazy spotykają się niespodziewanie razem, chwytają się siebie nawzajem i tworzą pajęczynę słów o wspólnej nici: la Madonna, Our Lady, Muttergottes, Sfanta Fecioara, Gospa, Matka Boża. Niewidzialne, nieuchwytnie mrowienie przechodzi mi po plecach.

A potem ten półmrok i cicha modlitwa. Nastrajająca monotonia dźwięków - znaczący szept. Rozedrgane światło wypalających się świec ukazuje sylwetki modlących się ludzi. Płomień nierówny, pulsujący, oddychający falami powietrza, dostającego się do wnętrza świątyni razem z kolejną grupą wiernych. To światło otwiera serce, duszę, umysł odbiorcy. Kadzidlany dym tworzy delikatną mgiełkę, zwiewną zasłonę i wszystko się rozplywa, nabierając chęci własnego życia. Człowiek wychodzi stąd odnowiony i silny.

Brdo Ukazanja (Góra Objawień). Tak się dzisiaj nazywa wzniesienie Podbrdo we wsi Bijakovići, gdzie podobno wizjonerzy widzieli Maryję. Prowadzi tam stroma, skalista ścieżka, którą z czasem poszerzyły miliony pielgrzymów przychodzących na to miejsce. Ludzie, którzy w większości urodzili się i wychowali na równym asfalcie, często wspinają się boso, a nawet na kolanach po tych ostrych kamieniach, by dotrzeć na miejsce pierwszych objawień, gdzie zawsze obecni są pielgrzymi zatonieni w modlitwie, śpiewający lub trwający w ciszy. Dopiero tutaj, z wysokości i z oddali można poznać piękno tej krainy. Zobaczyć pulsujące życiem pola, winnice i ujmujące prostotą wiejskie chatynki.

Medugorje jednakże obfituje w kontrasty, stoi jak gdyby na granicy dwóch światów. Jednym krańcem niemal dotyka nieba, drugim zaś jest mocno zakorzenione w rzeczywistości. Jak ogród o rozwidlających się ścieżkach Medugorje prowadzi do świata zadumy, ale i nęci uciechami doczesności. Na horyzoncie bezwstydnie i natarczywie pojawiają się wciąż nowe szkielety budynków: fast-foodów, butików, kawiarni, wypożyczalni samochodów, agencji turystycznych.

W ciągu kilku lat wyrosło tu rodzime Las Vegas, którym rządzi wszechobecne euro i równie popularny dolar. Ale jest jeszcze coś - dewocjonalia – talizmany dla mas. Przedmioty te w swej istocie kiczowate, jakby na siłę i wbrew tworzywom zrobione, można kupić praktycznie wszędzie - w każdej ilości, wielkości i cenie, z obowiązkowym wizerunkiem Maryi i napisem *Medugorje*: od książek, figurek, różańców, obrazków, poprzez pierścionki, medalioniki, ramki, świeczki, lusterka, aż do breloczków, a nawet futerałów na zapalniczki. Bezsensowna litania. Kiedy idę ulicą, patrzę z niedowierzaniem na sklepy oblepione tymi świecidełkami, bibelotami i nie mogę zrozumieć, dlaczego to eldorado rzeczy zbędnych, papkowatych, wręcz brzydkich, cieszy się niesłabnącą popularnością kupujących.

Czarne mercedesy i bmw. Gdy już ostatnie ściegi wieczoru wplatają się w noc, schludnie ubrani młodzieńcy w nowo zakupionych autach opuszczają garaże nowo wybudowanych willi. Pozycja obowiązkowo półleżąca. Jedna rączka na kierownicy, druga od klaksonu. Obcas-hamulec-klakson-obcas i tak przez całą drogę do Mostaru odległego o niecałe 25 km, gdzie już rozbrzmiewa głośnie muzyka dyskotekowa i migoczą kolorowe neony. Widać wiara wzbogaca na różne sposoby...

Ostatecznie każdemu jest dane to, w co wierzy. *Sretan put* (szczęśliwej podróży) czytam na jednej z przydrożnych tabliczek. *Sretan put!* ■